



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: CIĘŻKI KOGEL-MOGEL

Jak dziewczyna jest młoda, ładna, uczciwa i pracowita to nie musi ona zaraz rwać się ze wsi do miasta na wyższe studia, bo tam miastowi człowiekiem pomiatają, liczą każdy plasterk szynki na talerzu, paniom do centowym jeno fiubździum w głowie, a ich mężom, co niby takie naukowce i pedagodgi (choć własnego dziecka to, wychować ani rusz, nie potrafią!), ledwie na ciasnego malucha wystarcza; a jak to się panoszy, jak to się pyszni, jak to się dmie w tych swoich paru ciasnych „emach” w osiedlowym wieżowcu!

A na wsi...! Jak się trafi chłopak grzeczny, przystojny, postawny, magister-inżynier-rolnik z kilkuletnią praktyką na Zachodzie, z angielskim wykutym na blachę, własnym volkswagenem-golfem, no i tymi hektarami, co mu rodzice odpisali, to on taka młoda, ładna i robotna dziewczynę pokocha, doceni, do domu nowoczesnego, przestronnego, wygodnego, wprowadzi i za żonkę ją pojmie.

I już ta dziewczyna nie będzie żałowała przerwanych studiów pedagogicznych, ani pląsów w dyskoteci, ani innych miejskich różności, tylko siądzie sobie z mężem magistrem-inżynierem-rolnikiem w oknie i oboje będą popatrywali na ów krajobraz zielony dookoła się rozpościerający, na pola malowane zbożem rozmaitem, na nowiutkie traktory, kombajny i inny sprzęt rolniczy, co go tak łatwo rolnikowi kupić w sklepie, była ino miał gotówkę!

No, i jak się tak napatrzą, napatrzą, to się nagle, migiem chycą za robotę! A od tej roboty Polska nam zaraz zakwitnie, wzbogaci się i popłynie przez nią rzeką szeroką i głęboką - dobrobyt!

Taka oto mniej więcej, konkluzja może się jawić widzowi po wyjścia z kina, gdzie oglądał najnowszy film Romana Załuskiego zatytułowany „Kogel-mogel”.

Film Załuskiego jest komedią, a w komedii, jak wiadomo, mogą się zdarzać rzeczy najbardziej nieprawdopodobne. Więc niby, dlaczego sympatyczna Kasia z głębokiej białostockiej wsi, która po zdaniu matury, wbrew woli rodziców, zamiast pilnować gospodarki, postanowiła studiować w Warszawie, nie miałyby spotkać nagle na swojej drodze przystojnego Pawła z sąsiedztwa; światłego, wykształconego rolnika i dojść do wniosku, że jej miejsce jest naprawdę raczej na wsi, a nie w mieście?

Zresztą takie rzeczy zdarzają się nie tylko w filmie, nie tylko w komedii, ale także - w zwyczajnym, realnym życiu. Sęk tylko w tym, jakim językiem twórca o podobnych wydarzeniach opowiada! Ile potrafi zawrzeć w swojej opowieści prawdy o ludziach, zdarzeniach, faktach, problemach, które postanowił zaprezentować na ekranie? Jest rzeczą tutaj nieistotną, czy opowieść tę przedstawiono w konwencji dramatycznej czy komediowej...!

Wzbudzające na widowni huragany śmiechu, zatraćające niejednokrotnie o farsę, komedie Sylwestra Chęcińskiego o nieustannych walkach i sprzeczkach dwóch zwaśnionych chłopskich rodzin przybyłych zza Bugu na Ziemię Odzyskaną: Kargulów i Pawlaków były przecież opowieściami mądrymi, wynikającymi z wnikliwych obserwacji socjologicznych i psychologicznych: z wielkiej znajomości natury ludzkiej zarówno scenarzysty jak i reżysera.

„Sami swoi” i dwie następne części wiejskiej trylogii Sylwestra Chęcińskiego, to nie tylko zabawa na ekranie, to również pokazanie kawałka całkiem realnej Polski. Choć poprzez komediowy pryzmat...

Oczywiście, filmy, o których tutaj wspominam, nie muszą być jakimś „wzorcem” dla reżyserów sięgających po komediowy „temat wiejski”. Zresztą za ów temat brali się różni autorzy filmów, w bardzo różny sposób, że wymienię tu choćby Krzysztofa Wojciechowskiego... Widzieliśmy już na ekranie komedie „wiejskie”: dramatyczne, liryczne, sentymentalne; przepełnione poezją, jadem, złośliwością, komedie sięgające do groteski, do absurdu, a także - do farsowości.

Nie jest natomiast dobrze, kiedy komedia farsowa (a taką chyba miał być w założeniu „Kogel-mogel”?) nabiera cech groteskowo-absurdalnych wbrew zamierzeniom reżysera. Kiedy staje się płaską, żenująco nieciekawą opowieścią, usiłującą wzbudzać rechot widowni, odwołując się do wyświechtanych, zużytych chwytów, „zagrywów” i „grepsów” na poziomie niektórych przedwojennych polskich komedii filmowych, którą wprawdzie oglądamy z łezką w oku podczas telewizyjnych pokazów „W starym kinie”, ale wolelibyśmy, aby nie były one wzorami dla dzisiejszych reżyserów.

Grzechem tamtych filmów była może przede wszystkim ich banalność. Podobne ocieranie się o banał dostrzegam w filmie Romana Zaruskiego „Kogel-Mogel”. Choć reżyser zgromadził w nim całą plejadę dobrych aktorów, którzy - ze swej strony - robili co mogli. Ale wyszedł z tego istotnie kogel-mogel: namieszany, przesłodzony twór, ciężki do strawienia...